

MARKUS ZUSAK



pośłaniec

Przełożyła Anna Studniarek

FRAGMENTY KSIĄŻKI

NASZA KSIĘGARNIA
www.nk.com.pl

Tytuł oryginału
The Messenger

Text copyright © Markus Zusak 2002

Projekt okładki Mariusz Filipowicz

© Copyright for the Polish translation by
Anna Studniarek, Warszawa 2009

© Copyright for the Polish edition by
Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2009

Premiera książki: wrzesień 2009

 Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA
www.naszaksięgarnia.pl

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 022 643 93 89, 022 331 91 49, faks 022 643 70 28
e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 022 331 91 55, tel./faks 022 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 022 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Część pierwsza:
Pierwsza wiadomość

Edgar Street 45, północ
Harrison Avenue 13, 18.00
Macedoni Street 6, 5.30

A ◆ Napad

Napastnik jest beznadziejny.

Ja to wiem.

On to wie.

Cały bank to wie.

Nawet mój najlepszy kumpel Marvin to wie, a on jest bardziej beznadziejny niż napastnik.

Najgorsze w całej sytuacji jest to, że samochód Marvina stoi na zewnątrz w strefie parkowania do piętnastu minut. Wszyscy leżymy twarzami do ziemi, a jego auto ma jeszcze tylko kilka minut zapasu.

– Gość mógłby się pospieszyć – mówię.

– Wiem – odpowiada szeptem Marv. – To oburzające. – Jego głos wznosi się znad podłogi. – Dostanę mandat przez tego żalostnego sukinsyna. Nie mogę sobie pozwolić na kolejny mandat.

– Samochód nawet nie jest tego wart.

– Co?

Marv odwraca się w moją stronę. Widzę, że zaczyna się wkurzać. Wręcz wściekać. Jeśli jest coś, czego nie trawi, to obrażanie jego samochodu. Powtarza pytanie:

– Co powiedziales, Ed?
– Powiedzialem – szepczę – że nawet nie jest wart mandatu.

– Posłuchaj, Ed, dużo mogę znieść, ale...

Ignoruję go, bo szczerze mówiąc, kiedy Marv zaczyna gadać o swoim aucie, działa mi na nerwy. Gada i gada, jak dzieciak, a przecież, na litość boską, ma już dwadzieścia lat.

Nawija tak całą minutę, aż muszę mu przerwać.

– Marv, ten wóz jest żaloszny, jasne? – rzucam. – Nie ma nawet ręcznego... stoi tam z dwoma ceglami pod tylnymi kołami. – Próbuję mówić jak najciszej. – Zwykle go nie zamykasz. Pewnie masz nadzieję, że ktoś go zwinie, a ty zainkasujesz ubezpieczenie.

– Nie jest ubezpieczony.

– No właśnie.

– Agent stwierdził, że to się nie oplaca.

– Pewnie.

Wtedy właśnie napastnik się odwraca i wrzeszczy:

– Kto tam gada?!

Marva to nie wzrusza. Cały czas myśli o samochodzie.

– Ed, ty żaloszny żółtodziobie, nie narzekasz, kiedy podzucam cię do roboty.

– Żółtodziobie? Co to, do diaska, znaczy „żółtodziób”?

– Powiedziałem, zamknąć się tam! – krzyczy znów napastnik.

– TO SIĘ POSPIESZ! – ryczy w jego stronę Marv. Nie jest w nastroju. Zupełnie nie jest w nastroju.

Leży twarzą do ziemi na podłodze banku.

Trwa napad.

Jest nienaturalnie gorąco jak na wiosenny dzień.

Klimatyzacja się popsowała.

Jego samochód został właśnie obrażony.

Staruszek Marv znajduje się na skraju wytrzymałości nerwowej, na krawędzi. Nieważne, jak to nazwiecie – jest cholernie wkurzony.

Patrzymy na siebie ze złością na wytartym, zakurczonym niebieskim dywanie banku. Nasz kumpel Ritchie leży pod stołem z lego, pomiędzy klockami, które spadły na ziemię, kiedy gość wbiegł do środka. Audrey jest tuż przy mnie. Stopą przyciska moją nogę, czuję już drętwienie.

Napastnik wycelował pistolet w jakąś biedną dziewczynę za ladą. Na piersi ma ona plakietkę z imieniem „Misha”. Biedna Misha. Trzęsie się niemal tak samo jak ten koleś, podczas gdy jakiś przyszczaty dwudziestoparolatek pod krawatem, z plamami potu pod pachami, napelnia torbę pieniędzmi.

– Chciałbym, żeby ten gość się pospieszył – marudzi Marv.

– Już to powiedziałem – mówię.

– To co? Nie mogę wyrazić swojego zdania?

– Zdejmij ze mnie stopę – proszę Audrey.

– Co? – pyta.

– Powiedziałem, żebyś zdjęła ze mnie stopę. Noga mi drętwieje.

Rusza się. Niechętnie.

– Dzięki.

Napastnik odwraca się i po raz ostatni wykrzykuje pytanie:

– Który sukinsyn tam gada?!

Jeśli chodzi o Marvina, trzeba pamiętać, że nawet w najlepsze dni sprawia problemy. Jest kłóliwy. Niezbyt uprzejmy. To taki przyjaciel, z którym człowiek ciągle się kłóci – zwłaszcza

cza jeśli chodzi o jego złomowatego forda falcona. Do tego potrafi być z niego całkiem niedojrzały dupek.

Woła figlarnym tonem:

– Ed Kennedy, proszę pana! To Ed gada!

– Dzięki! – Zgrzytam zębami.

(Nazywam się Ed Kennedy. Mam dziewiętnaście lat. Jestem młodocianym taksówkarzem. Przypominam wielu młodych ludzi, których spotykacie na przedmieściach – nie mamy zbyt wielkich perspektyw ani możliwości. Poza tym czytam stanowczo za dużo książek i zdecydowanie nie radzę sobie z seksem oraz płaceniem podatków. Miło mi państwa poznać).

– Zamknij się, Ed! – wrzeszczy napastnik. Marv uśmiecha się krzywo. – Albo tam podejdę i odstrzelę ci tyłek!

Teraz czuję się zupełnie jak w szkole, gdzie sadystyczny matematyk wykrzykiwał rozkazy z przodu sali, choć tak naprawdę nic go nie obchodziło, czekał tylko na dzwonek, żeby móc pójść do domu, napić się piwa i tyć przed telewizorem.

Patrzę na Marva. Mam ochotę go zamordować.

– Masz dwadzieścia lat, na litość boską. Chcesz, żeby nas zabił?

– Zamknij się, Ed! – Gość drze się coraz głośniej.

Ja szepczę coraz ciszej:

– Jeśli zostanę postrzelony, to będzie twoja wina. Wiesz o tym, prawda?

– Powiedziałem, zamknij się, Ed!

– Wszystko jest wielkim żartem, co, Marv?

– Dobra, wystarczy.

Napastnik zapomina o kobiecie za ladą i podchodzi do nas wściekły jak cholera. Kiedy się zbliża, spoglądamy na niego.

Marv.

Audrey.

Ja.

I wszystkie inne żalosalne typki rozrzucone na podłodze.

Lufa pistoletu dotyka mojego nosa. Zaczyna mnie święcić. Nie drapię się.

Koleś patrzy to na mnie, to na Marva. Przez północną jego twarzy widzę rude wąsy i blizny po trądziku. Ma małe oczka i wielkie uszy. Pewnie rabuje bank, żeby odplacić świątu za wygrywanie przez trzy lata z rzędu lokalnego konkursu brzydoty.

– To który z was jest Edem?

– On – odpowiadam, wskazując Marva palcem.

– Ależ nie – sprzeciwia się Marv, a jego mina świadczy o tym, że nie boi się tak bardzo, jak powinien. Wie, że obaj bylibyśmy już martwi, gdyby napastnik nie okazał się taki żalosalny. Mój kumpel spogląda na zakrytą północną twarz mężczyzny i zaczyna: – Zaraz... – Drapie się po brodzie. – Wyglądasz znajomo.

– Dobra – przyznaję się. – To ja jestem Ed.

Ale gość skupia się na tym, co ma do powiedzenia Marv.

– Marv – szepczę głośno – zamknij się.

– Zamknij się, Marv – mówi Audrey.

– Zamknij się, Marv! – krzyczy Ritchie z drugiego końca sali.

– A kim ty, do diabła, jesteś?! – woła napastnik do Ritchiego. Odwraca się, żeby zobaczyć, kto się odezwał.

– Jestem Ritchie.

– Zamknij się, Ritchie! Nie zaczynaj!

– Nie ma problemu – odpowiada ten sam głos. – Dzięki.

– Wszyscy moi kumple to idioci. Nie pytajcie dlaczego. Czasami tak już po prostu jest.

Tak czy inaczej, gość zaczyna się gotować. Wydaje się, że złość wypływa przez pończochę na jego twarzy.

– Mam tego cholernie dosyć! – warczy. Słowa płoną na wargach.

Marva to jednak nie ucisza:

– Myślę – ciągnie – że mogliśmy chodzić razem do szkoły czy coś w tym rodzaju, wiesz?

– Chcesz umrzeć, prawda? – rzuca nerwowo napastnik. Wciąż jest wściekły.

– Cóż, właściwie chciałbym tylko, żebyś zapłacił za mnie mandat – wyjaśnia Marv. – Mój samochód stoi w strefie parkowania do piętnastu minut. A ty mnie tu zatrzymujesz.

– Cholerna prawda! – Koleś celuje z pistoletu w mojego kumpła.

– Takie nastawienie naprawdę nie jest konieczne.

„O Boże – myślę. – Kompletnie mu odbiło. Zaraz dostanie kulkę w głowę”.

Napastnik wygląda przez szklane drzwi, próbując zgadnąć, który samochód należy do Marva.

– Który to? – pyta, całkiem grzecznie, muszę przyznać.

– Tamten jasnoniebieski falcon.

– Ten złom? Nawet bym się na niego nie odlał, nie wspominając o zapłaceniu mandatu.

– Zaraz, chwileczkę. – Marv znów się obraża. – Skoro napadasz na bank, chyba mógłbyś chociaż zwrócić mi kasę za mandat, nie?

Tymczasem...

Pieniądze czekają na ladzie i biedna Misha woła napastnika. Ten odwraca się i rusza w jej stronę.

– Pospiesz się, suko! – warczy, kiedy dziewczyna podaje mu torbę. Zakładam, że to obowiązkowy ton głosu podczas napadu. Z pewnością oglądał właściwe filmy. Wkrótce kolejny raz podchodzi do nas.

– Ty! – krzyczę do mnie. Znalazł w sobie nową odwagę, gdy dostał pieniądze. Ma właśnie wałnąć mnie kolbą pistoletu, kiedy coś na zewnątrz przyciąga jego wzrok.

Przygląda się uważnie.

Przez szklane drzwi.

Po jego szyi spływa duża kropla potu.

Gość dyszy ciężko.

W głowie ma mętlik.

I wybucha:

– Nie!

Policjanci nie mają pojęcia, co się dzieje w banku (wieści jeszcze się nie rozeszły). Rozmawiają z kierowcą złotej torany, który zastawił kogoś pod piekarnią po drugiej stronie ulicy. Samochód odjeżdża, po nim radiowóz, a beznadziejny napastnik zostaje z workiem pieniędzy. Jego transport się ulotnił.

Koleś wpada na pomysł.

Znów się odwraca.

W naszą stronę.

– Ty – rozkazuje Marwowi. – Dawaj kluczyki.

– Co?!

– Słyszałeś mnie.

– Ten samochód to antyk!

– To kawał złomu, Marv! – wrzeszczę. – A teraz daj mu kluczyki albo sam cię zabije!

Marv sięga z niezadowoloną miną do kieszeni i wyciąga kluczyki.

- Bądź ostrożny – błaga.
- Obciągnij mi – odpowiada napastnik.
- To nie jest konieczne! – woła Ritchie spod stołu.
- Zamknij się! – odkrzykuje napastnik i leci.

Jego jedyny problem polega na tym, że samochód Marva ma mniej więcej pięcioprocentową szansę na zapalenie za pierwszym razem.

Koles wypada przez drzwi banku i kieruje się w stronę falcony. Potyka się i upuszcza pistolet niedaleko wyjścia, ale postanawia uciekać bez niego. Przez krótką chwilę widzę panię na jego twarzy, gdy podejmuje decyzję, czy podnieść broń, czy ruszać dalej. Nie ma czasu, więc zostawia ją i biegnie.

A my dźwigamy się na kolana i obserwujemy, jak zbliża się do samochodu.

– Patrzcie tylko. – Marv chichocze. Audrey, Marv i ja nie odrywamy wzroku od sceny na zewnątrz. Ritchie idzie w naszą stronę.

Napastnik zatrzymuje się i usiłuje domyślić, którym kluczykiem otworzyć auto. Wtedy zaczynamy się śmiać z jego nieudolności.

W końcu dostaje się do środka i stara się uruchomić samochód, ale mimo wielu prób mu się to nie udaje.

Wtedy...

Z jakiegoś powodu, którego nigdy nie rozumiem...

Wybiegam, podnosząc po drodze pistolet. Kiedy gnam na drugą stronę ulicy, patrzę gościowi w oczy. Chce się wydostać z falcony, ale na to jest już za późno.

Stoję przy drzwiach fordą.

Celuję w głowę napastnika.

Zamiera.

Obaj zamieramy.

Próbuje wysiąść i uciec, a ja, przysięgam, nie mam bladego pojęcia, że strzelam, aż do chwili, gdy podchodzę bliżej i słyszę brzęk pękającego szkła.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczy żałośnie Marv z drugiej strony ulicy. Jego świat się wali. – Strzelasz do mojego samochodu!

Rozbrzmiewają syreny.

Napastnik pada na kolana.

Mówi:

– Ale ze mnie idiota.

Mogę się tylko zgodzić.

Przez chwilę żal mi go, ponieważ uświadamiam sobie, że prawdopodobnie patrzę na największego pechowca na ziemi. Po pierwsze, napada na bank, w którym są tak nieprawdopodobnie głupi ludzie jak Marv i ja. Później jego transport znika. A kiedy myśli, że ma szczęście, bo wie, skąd wziąć inne auto, okazuje się ono najbardziej żalosnym samochodem na całej półkuli południowej. Właściwie chyba mu współczuję. Wyobraźcie sobie to upokorzenie.

Gdy gliniarze zakuwają faceta w kajdanki i odprowadzają, odwracam się do Marva.

– Widzisz? – pytam. Po chwili ciągnę z większym naciskiem, głośniejsz: – Widzisz? To właśnie dowód na to, jaki żalony masz samochód. – Wskazuję falcony. Przerывam na chwilę, żeby mój kumpel się nad tym zastanowił. – Gdyby był choć trochę lepszy, temu gościowi udałoby się uciec, prawda?

Marv musi przyznać mi rację.

– Pewnie tak.

Nie wiem, czy nie wolałby, żeby napastnik zdołał zwiąć. To przynajmniej dowiodłoby użyteczności auta.

Na ulicy i siedzeniach samochodu leży mnóstwo odłamków szkła. Próbuję ocenić, czy w gorszym stanie jest szyba, czy Marv.

– Hej – mówię – przepraszam za okno.

– Nie ma sprawy – odpowiada.

Pistolet wydaje się ciepły i lepki, jakbym w ręce trzymał rozpuszczającą się czekoladę. [...]

Kilka dni później dostaję pierwszą wiadomość.

A ona zmienia wszystko.

5

Obserwacja, wyczekiwanie, gwalt

[...] Planuję zacząć w poniedziałek, ale nie mam odwagi.

Drugą próbę podejmuję we wtorek, ale nie udaje mi się opuścić domu; za wymówkę mam czytanie koszmarnych książek.

Wśród jednak ruszam przez miasto.

Dochodzi północ, kiedy skręcam w Edgar Street. Zrobiło się ciemno, a wszystkie latarnie są zepsute. Ocalała tylko jedna, lecz i ona mruga do mnie. Jej blask kołysze się wokół kuli.

Nieźle znam okolicę, bo Marv często tu przyłaził.

Miał dziewczynę przy jednej z tych zaniedbanych ulic. Nazywała się Suzanne Boyd, a Marv chodził z nią jeszcze w szkole. Kiedy jej rodzina spakowała się i wyniosła, niemal bez słowa, był zrozpaczony. Kupił wtedy ten stary samochód, żeby wyruszyć na poszukiwanie Suzanne, ale nawet nie przekroczył granic miasta. Myślę, że świat wydał mu się zbyt wielki i Marv się poddał. Wtedy właśnie stał się taki skąpy i kłótlivy. Sądzę, że od tamtej chwili postanowił troszczyć się już

tylko o siebie. Może. Nie wiem. Nigdy nie myślę o nim zbyt wiele. Taką mam zasadę.

Idąc, przypominam sobie o tym wszystkim, lecz myśli te znikają, gdy zbliżam się do celu.

Docieram do końca Edgar Street, pod numer czterdziesty piąty. Mijam go, przechodząc po drugiej stronie ulicy, i kieruję się w stronę gęstej kępy drzew. Tam kulę się i czekam. W domu nie palą się światła, a na ulicy panuje cisza. Kawalki farby odpadają z dykty, jedna z rynien prawie przerdzewiała. W moskitierze są dziury. Komary nie dają mi żyć.

„Lepiej, żeby to nie trwało zbyt długo” – myślę.

Mija pół godziny i niemal zasypiam, ale kiedy nadchodzi ta chwila, bicie mojego serca musi się odbijać echem na całej ulicy.

Na chodniku zatacza się mężczyzna.

Potężny mężczyzna.

Pijany.

Nie widzi mnie, gdy się potyka na schodkach prowadzących na ganek, męczy się z kluczem, po czym w końcu wchodzi do środka.

W holu zapala się światło.

Drzwi trzaskają.

– Nie śpisz? – bełkocze. – Przywlecż tu zaraz swój tyłek!

Mam serce w gardle. Podnosi się tak wysoko, że czuję jego smak. Jego bicie na języku. Drzę, zbieram się w sobie, znów wstrząsa mną dreszcz.

Księżyc wylania się spomiędzy chmur i nagle czuję się obnażony. Jakby cały świat mógł mnie zobaczyć. Ulica jest niema i cicha. Tylko ten olbrzymi mężczyzna, wpadł do domu i krzyczy na żonę.

W sypialni też zapala się światło.
Zza zasłony drzew widzę cienie.
Kobieta jest ubrana w koszulę nocną, ale mężczyzna przy-
ciąga ją do siebie i brutalnie zrywa okrycie.
– Myślałem, że na mnie czekasz – mówi. Trzyma ją za
ramiona. Dławi mnie lęk. Później facet rzuca żonę na łóżko,
rozpina pasek i spodnie.
Leży na niej.
Wchodzi w nią.
Łóżko krzyczy z bólu. Skrzypi i jęczy, lecz tylko mnie dobie-
ga jego skarga. Boże, to ogłuszające. „Dlaczego świat tego nie
słyszy?” – myślę. W ciągu kilku chwil wielokrotnie zadają to
pytanie. „Ponieważ go to nie obchodzi” – stwierdzam w końcu
i wiem, że mam rację. To tak, jakbym został wybrany. Ale
wybrany do czego?
Odpowiedź jest prosta.
Żeby mnie obchodziło.

Fotografia autora © by Bromwyn Renneix



MARKUS ZUSAK urodził się w Sydney w 1975 roku i jest już znany czytelnikom na całym świecie. Jego pierwsza powieść, *Moje tak zwane życie*, zyskała uznanie krytyków w Australii. Opublikowano ją również w Europie i USA, przetłumaczono na liczne języki.

Pisarz ugruntował swoją pozycję książką *Walczący Ruben Wolfe*, która została wydana w USA i Europie oraz zdobyła liczne nominacje do nagród w Australii, łącznie z uczestnictwem w konkursie Children's Book Council Book of the Year Award.

Następna jego powieść, *When Dogs Cry*, opublikowana w 2001 roku, otrzymała wiele nominacji i nagród, m.in. miano Honour Book roku 2002, nadane przez Children's Book Council.

Posłaniec (2002) to uniwersalna, pełna czarnego humoru powieść, która stała się wydarzeniem na rynku literackim i otrzymała m.in. tytuł Książki Roku 2003 w Australii, wygrała również konkurs o Premier's Literary Award (Ethel Turner Prize).

Napisana w 2005 roku *Złodziejka książek* stała się jego – do tej pory – najsłynniejszą powieścią.

Zusak mieszka w Sydney, gdzie pisze, czasem też pracuje jako nauczyciel angielskiego w szkole średniej oraz gra w drużynie piłkarskiej, która nigdy nie zwycięża.



posłaniec

Poznajcie Eda Kennedy'ego – przeciętnego taksówkarza, kiepskiego karciarza, pechowca w miłości. Mieszka w ruderze na przedmieściach, dzieli się kawą ze swoim psem Odźwiernym i darzy niepewnym uczuciem koleżankę Audrey. Jego życiem rządzą spokojna rutyna i niekompetencja – do chwili, gdy pewnego dnia niechcący powstrzymuje napad na bank.

I wtedy pojawia się pierwszy as.

Wtedy Ed zostaje Posłańcem.

Tak oto wybrany, wędruje przez miasto, pomagając i cierpiąc (jeśli to konieczne), aż pozostanie już tylko jedno pytanie – kto stoi za jego misją?

Posłaniec Markusa Zusaka to tajemnicza podróż pełna śmiechu, bójek i miłości.

Od momentu wydania powieść znajduje się na szczycie listy bestsellerów „The New York Timesa”. Zyskała również ogromne uznanie krytyki literackiej.

Rok 1939. Dziesięcioletnia Liesel mieszka u rodziny zastępczej w Molching koło Monachium. Jej życie jest naznaczone piętnem ciężkich czasów, w jakich dorasta. A jednak odkrywa jego piękno – dzięki wyjątkowym ludziom, których spotyka, oraz dzięki książkom, które kradnie.

złodziejka książek

